

Hagiografia Starej

2 stycznia 2008

Historyjka zaczyna się błaho – pewnego razu stara kobieta otoczona kilkunastokilogramowymi tobołami zgniłych marchewek, ziemniaków i jakichś śmierdzących kocyków siedziała na plastikowym krześle obok sklepu z gazetami. Na twarzy jej widać było wielkie zmęczenie. Wyciągnęła papierosa, zapaliła go i łapczywie zaciągnęła się. Za każdym razem tej ozdowieńczej czynności kobiecina pomarszczona, ta garbata sierotka życiowa kraśniała i młodniała. Podniosła w górę oczy i jako człowiek bogobojny – wielce dziękowała za małe radości i skromnie prosiła o ochłodę w wielkim cierpieniu. Łezka pociekła jej po, przez lata już do tego przystosowanych rowach odpływowych na jej twarzy. Szybko powstrzymała się jednak od dalszego płaczku. Wytarła się brudną chusteczką i jęła tępo wpatrywać się w przejeżdżające z hukiem samochody. Każdy jeden stalowy żuczek przypominał jej o odległości jaką miała do przebycia, a także nadziei, że któryś z kierowców podrzuci ją do domu. Znowu zachciało się jej płakać.

Zaciągnęła się po raz ostatni papieroskiem, aż żar poparzył jej palce, splunęła, wyrzuciła kiepa i z trudem podniosła się z krzesełka. Wykrzywiła się z zasiedziałego bólu, złapała się za talię i wyciągnęła ile siły mogła. Grzmot krzywego kręgosłupa obwieścił, że najwyższa pora ruszać. Właśnie miała podnosić swoje wszystkie toboły, gdy ktoś ubiegł ją.

– Pomogę pani – obwieścił nieznajomy obojętnym tonem. Babunia zaskoczona i niezwykle uradowana powiedziała do pani sprzedającej gazety.

– Widzi Pani, jakiś aniołek mi pomoże. Już myślałam, że będę to dźwigać sama samiuchna przez te kilometry. Co za czasy, do tej pory nikt mi jeszcze nie pomógł. A tu proszę, i to jeszcze nieznajomy!

Babcia już miała się rozkręcać, gdy uczynny mężczyzna z taką samą obojętnością, jednostajnym tonem przywołał ją do porządku.

– Proszę już kończyć tę pogaduszkę, spieszy mi się. Dokąd idziemy?

Kobieta palnęła jeszcze na koniec:

– Widzi pani jaki dobry aniołek.

Mężczyzna zacisnął tylko zęby i chwycił resztę gratów sędziwej niewiasty. Raz, dwa... – szeptał do siebie zbierając siły przed ostatecznym szarpnięciem marchewek (...)trzy, hopla! Nogi zatrzęśły mu się pod ciężarem, powietrze uwiązało się w gardle, rumieńcem pokryły się jego policzka. Z wielkim wysiłkiem podniósł pakunki.

– Kurwa mać – pomyślał.

* * *

Wyruszyli w drogę. Młody mężczyzna z trudem poruszał się przytłoczony tym jak się okazało dużo cięższym niż się to na oko wydawało bagażem. Spocony, coraz bardziej zmęczony zaklinał w myślach babcię, ażeby ta szła tak jak teraz w spokojnym milczeniu. Niestety, stała się rzecz łatwa do przewidzenia. Starowinka, myśląc zapewne, że to odpowiednie zaczęła żalić się na swoją rodzinę i co gorsza porównywać poszczególnych jej członków do młodzieńca.

– A mój syn to nic tylko pracuje. Pracuje ciężko i to się chwali, może nawet ponad swoje siły pracuje, ale pracuje. Dobrze by było gdyby po tej ciężkiej pracy zrobił coś oprócz picia. Bo on albo pracuje albo pije. I nic innego nie robi. Nie odwiedza mnie, mąż umarł dawno już, za komuny. Też pił. Ale pan to inny jest, dobry. Nie to co oni. Oni mi nie pomagają na starość.

Nieznajomy nic nie odpowiedział, chciał ażeby to się już

skończyło i cierpliwie czekał aż nazbyt gadatliwa kobieta sam się uspokoi.

– A moja synowa to taka ździra, nic tylko pieniądze chce, nic tylko na kosmetyki je wydaje. Kupuje ciuchy, stroi się jak lafirynda. Nie pracuje, opiekuje się tylko swoimi szafami i od czasu do czasu synkiem. Czasami, bo mały to zaniedbany chodzi i nie ubrany jak trzeba. Nie to co pan, pan taki dobry.

-O co niby ma chodzić, chwalmy niebiososa, że nie jestem lafiryndą? – pomyślał.

Kobieta napastowała go nudną i zwykłą historią swojego życia, a jemu chciało się coraz bardziej jeść. Wrócił dopiero co z długiej podróży, gdy zauważył starą jak ćmi papierosa i postanowił jej pomóc. Co go do tego skłoniło? Na pewno nie był to przypływ empatii czy też świętego miłosierdzia, nie było to na pewno tym, co ludzie zwykle nazywają dobrocią. Zapewne zrobił to, bo tak trzeba było po prostu zrobić. Nie miał w tym żadnego interesu i żadnej przyjemności. Postanowił więc jeszcze raz wytrwale milczeć i tym sposobem dać „wyczerpać się” samej babci.

– Ja idę teraz do drugiego męża swojego. Pierwszy umarł bo po pijaku wskoczył pod kombajn. To była szalona dusza. Mój drugi, Zdzychu, to taki sam jest. Właśnie chce mu przynieść tą nową pościel, bo tamta to już cała denaturatem przesiąkła. Drań już tylko denaturat chleje, śpi w stodole, a ja mu jak psu miskę pod nos podstawiam. Czasami zje, jak siły ma, czasami to muchy zjedzą. Nie mogę go zostawić, stara już jestem, opiekować się nim trzeba. Bóg da nagrodę w niebie.

Po tym zwierzeniu się, zaczęła znowu chlipać. Zatrzymała się, zakryła oczy w zasuszonych rękach i płakała jakieś pięć minut, po czym jakby nigdy nic ruszyli dalej.

Sprzedawcy dopiero co sprzątnęli na targowisku swoje towary, więc słońce świeciło jeszcze dość mocno nie pomagając w polepszeniu samopoczucia naszej dwójce, zwłaszcza młodszemu

bohaterowi. Ewa, bo tak ma na imię babcia (przedstawiła się młokosowi kiedy to już oceniła i określiła w kilku zdaniach każdego chyba członka swojej najbliższej rodziny) po wypłakaniu się odzyskał wigor nastolatki, uwolniła nawet od części ciężaru młodego, co ten przyjął z nieśmiałym zadowoleniem.

– Mój mąż, proszę pana to nie jest taki zły. Pan sobie zaraz coś pomyśli, że pomaga się kobiecie której pomagać nie warto. Jedno co dla niej odpowiednie to kara i chłosta za to że nie dba o rodzinę i jeszcze obgaduje ją jak plotkarka jakaś...

– Chce pan ciasteczko? Mam opakowanie ciastek – dodała jeszcze.

– Poproszę. Dziękuję bardzo – odparł szybko. – Bardzo smaczne – skłamał, ale zaspokoił na chwilę głód. A Ewa znowu zaczęła.

– Mam swój ogródek. Tam to ja się dobrze czuję. Wśród spokojnej zieleni życie jest jeszcze prostsze niż jak to się powiada konstrukcja cepa W tym ogrodzie to ja jestem zawsze sama. Ale ta samotność zielona wcale mi nie ciąży. Odpoczywam wśród tych kwiatków i drzew śliwkowych. Rozporządzam w nim jak chce. Co mi wadzi to wyrzucam, co mi się podoba to pielęgnuję, a to rośnie i pięknieje z dnia na dzień. Roztaczam nad nim całą siebie – w tym momencie młokos zaśmiał się serdecznie. Babcia dalej kontynuowała:

– Razu pewnego ta samotność moja pocziwa, źle by się dla mnie skończyła – chichotała – pora mniej więcej była taka jak teraz. Patrzyłam na śliwki moje i jak mnie ochotka na nie wzięła. Jadłam je i jadłam głupia bez opamiętania. Korzystałem wtedy szczerze powiem z tego mojego ogródka jak samolub jakiś. I nic dziwnego, że mnie pokarała bozia, bo ja całe to drzewko ogołociłam. Jadłam te owoce bez opamiętania. Tak. – westchnęła i zrobiła pauzę. Po chwili radośnie ciągnęła dalej śliwkowy wątek– Poszłam po tym wszystkim napęczniała do altanki ażeby odpocząć po tym obżarstwie. W połowie drogi upadłam, tak

bardzo minie rozboleł brzuch. W pobliżu nikogo, ni żywej duszy. Zwijalam się w trawie przez jakieś trzydzieści minut. Dopiero po tym czasie szczęśliwie koleżanka mnie przyuważyła i zawiadomiła pogotowie. Załadowali mnie do samochodu, takie same chłopaki ja ty, i wtedy to wszystko ze mnie chluśnęło. Głupio mi się zrobiło, a oni to wszystko musieli wycierać, całe moje drzewo, mój ogródek. – babcia skończyła opowieść z nostalgicznym uśmiechem.

– Piękna historia – skwitował młodzieniec.

– Teraz pani sprzedaje śliwki na targu jak rozumiem? – dopytywał.

– Moje śliwki, nie. Nigdy! Mam na ogródku jeszcze porzeczki i malinki. To je sprzedaje i cośik na nich zarabiam. Ale śliwek to nie sprzedaje. One to jest cały mój ogród, a ja nigdy nie przestaje ich pragnąć, mam je w swojej mocy – śliwki! Wszystko zjadam sama – jeszcze raz zachichotała, a w oczach zapalił się ogień – czy to same owoce czy konfiturki. Nikomu ich nie daje, nikomu nie pozwalam, aby cieszył się ich smakiem, ale pana to bym poczęstowała tylko, że nie mam ich akurat przy sobie, sam pan rozumie.

„Pan” tylko przytaknął.

* * *

Szli dalej. Droga zaczęła się dłużyć, torby niezwykle ciążyć. Młodzieniec tracił siły, a wraz z nimi również i cierpliwość. Nie myślał oczywiście o porzuceniu pakunków i pójścia swoją drogą, ale wyczerpanie rozkaprysza. Poza tym wcale nie chciał poznawać gorzkiego jak niedojrzałe śliwki życia starszej pani. Jej betonowego przyzwyczajenia i strachu przed niespełnieniem źle pojętego obowiązku. Obowiązku za którym stał sam Majestat Przedwiecznego, czyli ktoś niebylejaki i niebylejaka metafizyka. Dobrowolna garbatość życia staruszki, to jej skurczenie się w sobie, trwanie w stanie kary i wyczekiwanie gdzieś na horyzoncie nagrody, to powierzenie życia komuś

innemu, wszetecznie namiętne zdewaluowanie swej ważności i wartości w pustym w cnocie wytrwałości i poświęcania zatraceniu się dla jakiegoś pijaka i syna pijaka nieżyjącego pijaka. Nie to żeby miał coś do pijaków. Nie znosił tylko litości rozta czarnej nad nimi. Nieogarniona pokora! Zapytać można „Gdzie sprawiedliwość?”. Odpowiedź jest zatrważająco prosta: „Nie ma jej, podkreślmy, jeszcze jej nie ma! Sprawiedliwość zawsze, w każdym momencie tylko będzie” Wszystko to rozłościło go delikatnie. I jeszcze to słońce świecące złośliwie prosto w twarz! Tak, herbatniki się skończyły.

* * *

Szli dalej. Droga wydłużyła się jeszcze bardziej, torby ciążyły ponad siły. Głód zaczął mu doskwierać do bólu. Przełamał się i zapytał:

– Czy nie ma pani jeszcze czegoś do przekąszenia?

– Herbatniki przecież, ach, wszystko pan zjadł – powiedziała, jak wydawało się młodemu, z wyrzutem starsza kobiecina – Zatrzymaj się, dam ci marchewkę – powiedziała łaskawie.

Młody już miał powiedzieć „Nie chce tej zgniłej, przebrzydłej marchewki!”, gdy z kieszeni flanelowego płaszczyka babci wypadł pełny słoik ze śliwkowym dżemikiem. Teraz z kolei babci wydało się, że młodzieniec patrzy na nią z pretensją. Nastąpiła chwila grobowej ciszy.

– O! A co to?- zapytała rezolutnie kobieta wskazując palcem na słoik.

– Zdaje się, że konfitury z pani kochanych śliwek – odparł dobitnie, z całą stanowczością.

– Rzeczywiście – powiedziała drapiąc się po siwej głowie – W takim razie może się poczęstujesz? – proponowała po chwili z braku innego wyjścia.

– Dziękuję, bardzo chętnie.

Otworzył słoik, powąchał owoce, bezceremonialnie włożył do środka palucha, umazał go konfiturami i jął go oblizywać. Młaskał przy tym zajęciu, rozkoszował się smakiem, radował coraz bardziej zapełnionym żołądkiem. Wyciągnął z kieszeni suchą bułkę i dla efektu większej sytości zagryzał ją za każdy większym chapnięciem porcji dżemu. Słoik w bardzo szybkim tempie zaczął się opróżniać. Babcia na to zrobiła tylko wielkie z przerażenia oczy, próbowała coś powiedzieć, jednak mowa jej, jak do tej pory niczym nieskrępowana, teraz zwiędła jak trawa na upale. Stała jak kołek, nieruchoma i wyprostowana, ta jej człowiecza huba, garb, zdawał się nie być w tej chwili taki wielki. Młodzieniec zauważył to natychmiastowe przeobrażenie, przerwał posiłek i zaczął się babuni uważnie przyglądać.

– Boże mój – wykrztusiła z ledwością – Proszę cię przestań!

Zdziwiony młodzieniec odparł:

– Przepraszam, ale jestem bardzo głodny. Teraz będę jadł nieco mniej łapczywie – wymamrotał z pełną gębą.

– Naprawdę dobre – uśmiechnął się jak tylko mógł najbardziej wdzięcznie.

– Na Boga! Zostaw moje śliwki! – zawyła staruszka i osunęła się na kolana.

Młody przestraszył się na dobre oszalałym lamentem Babci. Odsunął powoli od ust wymaczaną w konfiturze bułkę i kompletnie nie wiedząc, co dalej zrobić stanął sztywno przyglądając się kobiecie. Ta zanosiła się spazmatycznym płaczem, gwałtownie łapała powietrze, na przemian to blednąc, to czerwieniąc się, to siniejąc. Ewa nadal będąc w psiej pozycji, na czworaka, trzęsąc się jak galareta próbowała coś powiedzieć. Nagłe szlochania uniemożliwił jej to. Opuściła siwą głowiznę. Ślina i łzy spadały na zakurzoną drogę z

głuchym i lepkiem płaskiem. Przy wtórowaniu szlochania i łkania każdej kropli stukoty wyznaczały posępny rytm żałosnej symfonii smutku.

Chłopak położył półpełny słoik obok kobiety, oddalił się na odległość kilku kroków nadal obserwując bacznie starowinkę. Śliwkowe przetwory, nieco uszczuplone, lśniły w słońcu jak rozgrzana stal. Zniknęły nagle, jak owad w pyszczku kameleona w głębokiej kieszeni bawełnianego płaszczyka. Ponowne na wyłączność posiadanie owocowych słodkości przywróciło babciny stan do normalności. Szybciutko otrzepała się z drogowego kurzu, wytarła z twarzy wszystkie ślady wcześniejszej rozpacz i trochę jakby zawstydzona i trochę jakby na siebie zła, powiedziała ściszym głosem:

– Przepraszam pana.

– Nic nie szkodzi, nic się nie stało – wydukał powoli w zdumieniu.

* * *

Niezdrowe zachowanie starej kobiecinki zrobiły na nim piorunujące wrażenie. Ta nudna i zwykła sytuacja przerodziła się w istny teatr dziwów. Wszystko do tej pory, zarówno w okolicznościach jak i w samej babci było nieatrakcyjne i dojmująco nudne. W jednej chwili, chwili totalnej nieprzystawalności, nieadekwatności zachowań wyrażona została cała tajemnicza wartość (i tym samym smuta zapewne) prastarej Ewy. Śliwki, jej śliwki, to wszystko, co posiada w pełni, to wszystko czym na życie i śmierć może rozporządzać. Kilka ruchów ostrą siekierką i drzewek nie ma, mocniejszy uchwyt, silne zamachnięcie i zmiażdżone owoce lądują w krzakach, trochę pracy, stary przepis aluminiowy gar i przetwory są gotowe do zjedzenia.

– To moje, boskie dary. Moja codzienna komunia. Tyle posiadam i więcej nie mogę. Przyzwyczaiłam się do tego. Bozia dała, a ja więcej niż on mnie daje wymagać nie mogę.

– Rozumiem, proszę się nie tłumaczyć. – mitygował.

Rozumiał, ale nie akceptował. Przez chwilę przemknęła mu przez głowę przewrotna myśl – chciał namówić ją do Grzechu. Nie chodzi o trywialny grzech, jakieś barbarzyńskie i bezsensowne zło. Nie takie prostactwo jak zaciukanie nożem obłęsnego męża. Takie coś wzmaga tylko żałość, jest zwyczajnie karygodne i śmieszne. Chodzi o coś bardziej subtelного, coś co by bardziej wzbogaciło życie staruszki, a przy tym po prostu uradowałoby ją. Wyrządzić komuś krzywdę, wzmocnić go tym samym, dać o sobie znać, zaznaczyć ślad, nawet bliznami, zawłaszczyc, ogarnąć i zniszczyć coś więcej niż tylko te marne śliwki i smaczne konfitury. Biedna zaszczuta przez ludzi i Boga kobieta, zapomniana, zgasła, umierająca. Grzech byłby dla niej uwolnieniem, albo przynajmniej chwilowym oddechem w ciągłym katorżniczym poświęceniu. Wyzbyć się, na chwilę chociaż, wyrzutów sumienia, to byłby prawdziwy, boski cud, jej prawdziwe zmartwychwstanie. No może nie aż zmartwychwstanie, ale przynajmniej wielce pozytywna, prozdrowotna odmiana.

* * *

– Idziemy dalej w drogę? – zapytał.

Ruszyli. Kilka kęsów bułki z przetworami – cudami pomogły mu w zwalczeniu po raz drugi pierwszego głodu. Za kilka minut znowu zacznie doskwierać nienasycenie i dopadnie go zmęczenie.

– Daleko jeszcze?

– Już niedaleko, jeszcze tylko połowa drogi kochany – odpowiedziała z uśmiechem.

– Cholerny świat! – pomyślał – Po co pani te stare warzywa i pościel? – i kontynuował po jakimś czasie.

– Mówiłam już, pościel dla męża. A warzywa to dla siebie. Do zjedzenia.

– Przecież ma pani swoje śliwki – powiedział z lekką

złośliwością.

– Nie mogę przecież jeść cały czas moich śliwek kochaniutki. One są na specjalne okazje.

– A nie chciałabyś czegoś więcej.

– Nie! – wykrzyczała.

* * *

Szli dalej. Słońce świeciło na pomarańczowo, powoli zapadał wieczór. Niedaleko, gdzieś przy drodze, dostrzegli cudowny blask. Iskrzące się coś, co kilka sekund gasło, by po chwili rozbłysnąć z całą swoją różnobarwną migotliwą wspaniałością. Po każdym niknieniu światło co raz to większym refleksem, za każdym razem piękniejsze, docierało do ich oczu. Złaknieni piękna automatycznie przyspieszyli. Zafascynowani niezwykłym widowiskiem, wpatrzeni w te hipnotyczne świetlne efekty jak zgłodniałe psy w soczysty kawałek mięsa, podążali z napięciem niecierpliwości. Szybko stawiali małe kroczki szurając ze zmęczenia podszwami po drodze jak narciarze-biegacze swoimi nartami w wyrobionych w śniegu szynach. Z kroku na krok, albo z szuru na buru, z wiaderka wylatywała jakaś zgniła marchewka, z dziurawego worka jakiś pomarszczony ziemniaczek, znacząc za nimi ślad pośpiechu. Zatrzymali się w niewielkiej odległości przed olśniewającym znakiem drogowym. Jego niezwykłość polegała na tym, że zrobiony był z najszlachetniejszym metali, które to błyszczały kusząco w blasku zachodzącego słońca. Noga lśniła ogniem miedzi, tarcza jak tarcza słońca wielka, złociła się, a jakże, złotem, napisy zwracały na siebie uwagę zimnym blaskiem księżycowego srebra. Nieco świąteczny charakter nadawały mu świecące całą feerią barw lampki choinkowe.

Babcia przystanęła, zmrużyła oczy starając się wyostrzyć swój starczy wzrok, zaczęła czytać głoszoną przez znak, edukacyjnie równoważną co do wartości nośnika materialnego, treść. W punkcie pierwszym – „Chciałbyś!/Chciałabyś!”, w punkcie drugim „Nie dotykaj!”, i dalej w punkcie trzecim „Na nic podobnego

sobie nie zasłużyłaś/ zasłużyłeś”, w punkcie czwartym „Kto szuka najprawdopodobniej znajdzie, a kołaczącemu otworzą za chwilę, tylko skończą partię szachów.”, i w końcu ostatni, piąty „Idź, nie stój tak!”. Przeczytawszy to staruszka przyklęknęła, pokłoniła się, złożyła pokornie dłonie, westchnęła smutnie i zaczęła się oddalać, aż znak znalazł się za jej plecami. Zatrzymała się po przejściu paru metrów. Obróciła się powoli.

– Zawróć kobieto, nie odchodź, dotknij, zabierz, zniszcz, zrób coś z tym! – dopingował pełen nadziei młody wskazując palcem na znak.

Westchnęła jeszcze raz, ruszyła z powrotem.

– Tak Ewo, zrób tak jak na początku! O prastara, zerwij, przerwij! – darł się wniebogłosy.

Kobieta z trwogą minęła znak starając się z całych sił by na niego nie spojrzeć. Mając go już za plecami, przyspieszyła kroku, minęła także znieruchomiałego młodzieńca rzucającego za zgrzybiałą sylwetką zdumione, złe spojrzenia. Kobięcina zatrzymała się nagle i nie odwracając się powiedziała:

– Pomożesz mi pozbierać moje marchewki i ziemniaczki, czy będziesz tak stał?

Pomógł tylko z wściekłości.

* * *

– Naprawdę, chce pani pomóc. Proszę, kopnij, zarysuj czym ostrym jego powierzchnie, rzuć kamieniem, wygnij piękną tarczę/

– Podnieś tego ziemniaczka i nic nie mów – odparła stanowczo stara.

– Taka niezłomność i krystaliczność zniszczyła pani życie-odważył się w końcu powiedzieć coś, co mogło zostać źle

zrozumiane.

– Nie rozumiem, jak pan śmie oceniać całe moje długie życie? Co pan sobie w ogóle wyobraża – zagrmiała.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja nie miałem zamiaru pani obrazić. Trochę mnie może poniosło, ale chciałem jak najlepiej, nadal chce i nadal będę się starał panią namówić do zrobienia tego małego gestu. Zobaczysz pani, wyjdzie to tylko na dobre. Wystarczy tylko robić to co ja.

Młody podniósł miękkiego i pomarszczonego ziemniaczka, wymierzył i zamachnął się. Bulwa, rzucona z wielką precyzją, wylądowała w samym środku cudownego znaku. Brzdęk! Lampki choinkowe na chwilę zgasły, a na tarcz pozostał mokra, staroziemniaczana surowa plamka puree. Chłopak zupełnie niewinnie i czysto zaśmiał się, uderzył dwoma rękami o kolana dając upust dziecinnej radości.

– Ty złoczyńco jeden! – wykrzyczała babcia – Jak mogłeś?

– To proste – uśmiechnął się jowialnie i rzucił kolejny raz.

Brzdęk!

– Przestań! – wydarła się – To wielkie zło, co ty wyprawiasz. Nie mogę na to patrzeć. Moje słabiutkie serduszko! O ja nieszczęsna! Beszczelnik!- babcia jak zwykle wobec swojej bezsilności przybrała wypróbowaną zasłone pokutującej i poniżonej jawno grzesznicy wrzuconej w jawno grzeszący świat. Spojrzała na znak drogowy, zaczęła się do niego zbliżać. Zgarbiła się, opuściła uniżenie głowizno-szarzyznę i przyklękła przed święcącą świętością. Zamruczała coś pod nosem. Usta jej poruszać się zaczęły jednostajnym, falowym ruchem modlitwy, gniewu, błagania, bluźnierstwa, strachu.

– Czy nigdy nie myślałaś o pozbyciu się poczucia obowiązku, o wyzbyciu się strachu przed własnymi nawet najmniejszymi pokusami, czy nie miałaś kiedyś ochoty tak zwyczajnie rozwinąć

skrzydła i nie przejmować się niczym tylko tymi swoimi skrzydełkami wątlými, ale własnymi? -nie przestawał ugniatać jej duszy młody.

– Ewuś, no dalej! – dopingował w myślach młody – proszę cię...

– Dlaczego, ale ja... – gubiła się kobiecinka.

Przyklęknął przed nią i w celu retorycznego wzmocnienia zaczął podnosić głos aż do osiągnięcia pompatycznie napiętego stylu.

– O Droga Starowinko pocziwa, zrzuć kajdany pokory i cnoty, która Ci w niczym absolutnie nie służy, niech ten mały gest będzie jak ten ozdowieńczy papierosek, co sprawia, że młodniejesz o Pani w oczach i zrzucasz grzybnie! Pamiętaj, zrobisz to tylko ten jeden raz.

– Ale...

Ewa zastygła w pokornej pozie. Zamknęła oczy. Z jej totalnego bezruchu można było wywnioskować, że oto w jej steranej duszyczce przebiega wielka, jeśli nie największa wojna racji i namiętności jaka kiedykolwiek przetoczyła i przetoczyć się miała przez jej złote sumienie. Zapory zaśniedziałe ze starości, czy napory życiowej siły. Batalia skończyła się po długim czasie, gdy słońce zaszło już na dobre i na świecie zagościła ciemność. Jedynie lampki rozświetlały kawałek ziemi reklamując oczywiście treść zamieszczoną na złotej tarczy.

Babcia podniosła się bardzo powoli. Wyprostowała się na swój garbaty sposób i powiedziała mysio-ściszonym głosem:

– A masz!

Dodawszy sobie odwagi i wzmocniwszy się tym okrzykiem bitewnym, babcia kopnęła w podstawę cudownego znaku. Na nóżki wzute miała tylko jakieś stare adidaski, więc stópka trochę ją rozboleła, a drogocenny przedmiot tylko rozkołysał się i nadal dumnie sterczał na poboczu. Odwróciła się.

– Gdzie są moje torby? – zapytała ze złością.

– Tutaj przecież – odpowiedział krótko, ale ugrzecznionym tonem uśmiechnięty młodzieniec.

– To co się tak patrzysz, jak ciele w niemalowane wrota, pomóż mi i podstaw je tu!

– Już się robi! – obwieścił światu i babci radosnym okrzykiem zgody.

Warzywna piramidka została postawiona. Ewa wspięła się na nią i, z niezwykłą jak na osobą z taką ilością lat sprawnością, rzuciła się na opatulające szlachetne kruszywa, lampki choinkowe. Zawisła na nich na wysokości około 1,5 metra nad ziemią jak garbaty leniwiec z lasów amazońskich.

– No pomóż mi, ściągnij mnie na dół! – rozkazywała.

Młodzieniec chwycił babcie za nogi i zaczął powoli, ale stanowczo ściągać kobiecinę na dół. Lampki zaczęły odrywać się od powierzchni złotej tarczy, tak, że babcia z każdym takim wydarzeniem znajdowała się błyskawicznie o jakieś kilkanaście centymetrów niżej. Z każdą sekundą kolejna lampka spalała się na dobre. Przyczepność świecącego sznura szybko malała, toteż po chwili, przeciążenie stało się zbyt wielkie i babcia wśród iskier i odłamków kolorowego szkła spadła wprost na rozłożone ręce młodego, a śmiała się przy tym jak dziecko.

– Opuść mnie, ale już! – Pani Ewa nadal nie oddawała inicjatywy.

Wyciągnęła z kieszeni flanelowego płaszczyka swoje sławetne konfitury, z atletyczną sprawnością i precyzją cisnęła nimi w znak. Trafiła mimo całkowitych przecież ciemności w tarczę, czego jednoznacznym wskaźnikiem był brzdęk tłuczonego szkła i szemrzący deszcz słodkich przetworów.

– Teraz przewrócimy znak i zabierzemy ze sobą te wszystkie te drogocенności! – powiedziała chichocząc i zacierając ręce.

– Nie trzeba, to wystarczy Ewo – wykrzyczał, a uśmiech zadowolenia nie schodził mu z twarzy.

Objął jedną ręką kobietę i jako najlepszy, bo najprostszy sposób na rozładowanie wzbierających w nich pozytywnych emocji wespół w zespół ryknęli śmiechem. Babcia śmiała się tak mocno, że obluzowała się jej sztuczna szczęka. Weseliła się i ona i jej dentystyczna proteza. Na wspomnienie niedawnych chwil cichego płaczku, chciało się jej tylko bardziej jeszcze radować.

* * *

Szli dalej. Wśród kompletnych ciemności z ledwością mogli dojrzeć swoje własne nogi. Obawy, jak o tej porze znajdą właściwą drogę do domu babci, tylko z początku podrażniały im nerwy. Rozpromienieni wolnością, nawet z zamkniętymi oczami widzieli wszystko, co potrzeba. Świecili własnym światłem, nie odbitym, jako jakiś miliardowy blady refleks. Szli dziarsko jeszcze przez kilka kilometrów zanim zmęczenie na dobre uniemożliwiło im dalsze maszerowanie. Upragnione dojście do celu trzeba było odłożyć na później. Znaleźli małą polankę niedaleko szosy i tam postanowili odpocząć. Babcia dała młodemu starą, śmierdzącą kołdrę, a sama przykryła się tylko jakimś kocykiem. Zasnęli natychmiast. Nic im się nie śniło, marzenia pojawiają się tylko w nieszczęśliwych duszach.

* * *

Zbudził ich poranny ziąb. Mgły z całą siłą nacierały na nich gęstą i pancerną falangą. Podnieśli się i udali się w kierunku jezdni. Z początkowego ich uposażenia została tylko kołdra, kocyk i parę marchewek. Wszystko inne zostało zgubione, albo wyrzucone gdzieś po drodze.

– No proszę! Jesteśmy prawie na miejscu! – wykrzyczała rozradowana.

– Nareszcie – z ulgą odparł młody.

Chłopak uznał się, że zrobił dla babci już wystarczająco dużo dobrego. Na tyle, jak mniemał, iż dalsza pomoc byłaby już co najmniej przesadą i mogłaby być kolejnym przyczynkiem do tego, aby stara miała wczuwać się raz jeszcze w rolę uniżonego we wdzięczności dla losu truchełka. Zwrócił się do babci tak oto:

– Dojdziemy do najbliższego skrzyżowania i będę musiał panią opuścić. Poradzi sobie Ewa, prawda?

– Oj, chyba tak. Na pewno tak.

– To cieszę się, że mogłem pomóc.

– Nie wiem jak mam dziękować! Bez Pana na pewno bym sobie nie poradziła.

– Chyba tak. Przeworność, nieufność i małoduszność kierowców na tej trasie jest niesamowita! – śmiał się młody.

– Może ma Pan ochotę na herbatę, albo coś do jedzenia, zupkę mleczną mogę zrobić, na pewno jesteś głodny. Posilisz się. Rozgrzejesz. Tym razem ja panu pomogę.

– Nie dziękuje! Jestem od pomagania, a nie od otrzymywania pomocy – zachnął się.

Doszli w umówione miejsce rozstania.

– Do widzenia – uśmiechnął się serdecznie oraz promiennie i pożegnał się.

– Jeszcze raz dziękuje. Do widzenia! Na prawdę nie wiem jak mam, co bym bez pana... – płaszczyła się.

Na jej dziękczynne zaloty młodzieniec zareagował skrytym obrzydzeniem.

– Proszę się uspokoić. Wszystkiego dobrego życzę – powiedział i po prostu odszedł.

Babcia jeszcze długo wpatrywała się w swojego aniołka. Zdawało

się jej jeszcze, że ten, zanim się nie rozpułynał w pancерnej mgle, machnął jej na pożegnanie ręką.

– Mój aniołek...- powiedziała cichutko.

* * *

Do domku miała jeszcze z jakieś piętnaście minut drogi spokojnym marszem. Podniosła torbę z zatęchłymi pieleszami i udała się radośnie, czysta na duszy, wprost do swojej chatki z czerwonej cegły. Poranek był tak kiczowaty, aż zapierał dech. Ptaszki śpiewały tylko dla niej, cała przyroda zadawała się być orędownikiem jej szczęścia. Disnejowską estetykę przechodzącego kaca musiało oczywiście zmącić jakieś niespodziewane zajście.

Po przebyciu kilkunastu metrów zatrzymał się obok babci jakiś czarny (kompletnie nie znała się na samochodach), lśniący, drogi z pewnością jak cholercia, samochód. Szyba, gładka jak zwierciadło, powoli opadła, zastępując jej stare, zmechacone odbite oblicze, rzeczywistą, wypolerowaną idealnie młodością, twarzą kędzierzawego blondyna ubranego w dostojęństwa pełną biel najbielszą.

– Ewo, znowu się nabroiło, co? – podał babuni krótko i zwięźle do wiadomości nieznajomy.

– Słucham pana, co pan powiedział, czy mógłbyś powtórzyć młody człowieku?

„Młody człowiek” uśmiechnął się tylko w dziwny leniwy sposób, jakby chcąc tym zaznaczyć swoją wyższość i pogardę dla interlokutora.

– Czy my się znamy? – wykrztusiła zaniepokojona babcia.

– Czy my się znamy! – zaśmiał się przeraźliwie – Znamy się odkąd pamiętam!

Ciągnął dalej nieruchomo wpatrzony swoimi lodowato-niebieskimi

oczyskami w kobietę:

– Jestem pani najwierniejszym towarzyszem i nie wyobrażam sobie, Ewo, bez Ciebie mojego życia. Tęsknię – uśmiechnął się sarkastycznie.

– Ale skąd...?

– Cisza! – polecenie to zabrzmiało z taką kategoryczną stanowczością, że babunia natychmiast umilkła i skuliła się ze strachu.

– Jadę do Bydłęcina, to tędy? – zapytał się blondyn drapiąc się po czole.

– Tak, tędy – zareagowała.

Mężczyzna schował się w ciemnościach swego samochodu. Zaraz po tym, drzwi limuzyny powolutku zaczęły się zapraszająco rozchyłać.

– To czy w takim razie, nie mógłby mnie pan podrzucić kawałek do domu? Mieszkam tu niedaleko. Jedziecie akurat w dobrym kierunku – palnęła bezmyślnie.

Wprasza się w łaski człowieka, którego się boi. Dobrowolność tej ryzykownej decyzji wprawiła ją w osłupienie. To tak, jakby z ochotą i otwartością przyjmować na siebie cierpienia, jakieś zło, jakby otwierała swoje żyły gościnnie dla jakiegoś truciela, pasożyta wiercącego się i wijącego. Postąpiła wbrew sobie. Tyle, że to „sobie” okazało się jakby jeszcze za młode, zbyt słabe i mizernie zakorzenione. Ustąpiła więc starszej sile – zapieczętowanej przez długie przyzwyczajenia i zraszane momentami cichego płaczku, sile namiętności cyklopowych budowli jej garbatego charakteru.

– Och, gdyby był tutaj mój aniołek... – pomyślała w skrytości i wsiadła złęczniona, niczym zahipnotyzowana, do czarnej limuzyny.

Samochód ruszył z piskiem opon. W środku oprócz Ewy nie było nikogo. Blondyn zniknął. Wnętrze ekskluzywnego auta było nieproporcjonalnie wielkie, przynajmniej takie jak jej największy pokój w chatce... z czerwonej cegły. Babunia siedziała na miękkiej podusi. Wszystko wokoło było wyściełane lśniącem w delikatnym świetle gładkim i z pewnością drogocennym materiałem. Wyposażenie to jakieś nieznane jej przedmioty, funkcji których mogła się tylko domyślać. Siedziała w nieruchomej trwodze. Nagle...

– Wiesz co zrobiłaś? – zagrzmiało coś zasłyszane gdzieś z okolic mostka w klatce piersiowej. – Czy wiesz co zrobiłaś? – powtórzyło.

Struchlała staruszka przystawiła do kłutego i szarpanego miejsca żylaste, cieniotkie rączki.

– Przestań, to bardzo boli!

– Stara! Jak ci nie wstyd? Zrobiłaś to jeszcze z pełną premedytacją. To jest dla mnie niepojęte, to jest dla mnie kompromitujące, to jest dla mnie karygodne! – potężne dudnienie, wprawiające w ruch wszystkie podroby, rozeszło się od drżenia strun kostno-chrzęstnych cymbałów, skrupulatnymi, wyliczającymi wszystkie komórki w ciele, bolesnymi i rytmicznymi ukłuciami.

Twarz starej zbladła, wielkie, sine fałdy pojawiły się pod jej, pięknymi, czarnymi jak węgielki oczami. Samochód przyspieszył. Świst i szum mijanych przedmiotów dochodził z coraz większą częstotliwością ze szpar w drzwiach samochodu. Kłucie w piersi nasilało się. Ewa opadała z sił. Jej ciało niemalże bezwładne, niemalże bez żadnej reakcji sprzeciwu miotane było w każdą ze stron pięknego świata. Żyjątko w jej mostku rozrywało jej klatkę piersiową powtarzając z każdym atakiem pokutniczą śpiewkę „To niepojęte, to kompromitujące, to karygodne!”

Babcia upadła na miękką podłogę. Podłogę czystą, podłogę

odkurzoną wzorcowo, podłogę pachnącą. Dyszała ciężko. Z przerażenia i strachu szeroko otworzyła usta i wydusiła z siebie chrapliwe:

– Dość już...

Jakiś cień przykrył jej głowiznę – szarzyznę. Lekki powiew powietrza poruszył przy uszach jej białymi włosami. Ktoś wyszeptał:

– Żyje się nie dla trwania w łasce, lecz żyje się tylko z łaski. Rodzi się z Grzechem i umiera przez Grzech. Nie chodzi się ścieżkami występku. Nawet jeśli są to leśnie ścieżeczki – ostatnie słowa wypowiedziane zostały z infantylną i przesłodzoną manierą z jaką się zwraca do niemowlaków.

– Zmiataj stąd! – ostatni krzyk, ostatnie szarpnięcie i ukłucie wykrzywiło garbatym człowieczkiem, tak brutalnie, aż kobiecinka w tchnięciu boleściwego tańca piruecie uderzyła w ścianę ekskluzywnego samochodu.

* * *

Umarła przed swoim domem z czerwonej cegły. Pękła jej utrudzona sprężynka. Opuściły ją jej wszystkie złote anioły, zostawiły samą, na pożarcie przez głodującą samotność i utworzone przez wieki, żyjące własnym życiem, motywy cierpienia i duchowego samookaleczenia. Znaleziono ją przed jej domem z czerwonej cegły, bladą i krzywą, bo stała się córą śmierci. Na wieki wieków niewinną jak dziecko, niewinną jak promyk wolności, niewinną jak wschodzące oblicze radości na posmutniałej twarzy kogokolwiek, kto zadrecza się sam.

Autor: Nemeczek

Źródło: [Fabrica Librorum](#)